

Uczyć się dla Napoleona

Dnia 17 marca 1808 r., Cesarz Francuzów, Napoleon I, podpisał dekret regulujący organizację powstałego dwa lata wcześniej Uniwersytetu Cesarskiego. Państwo nieodwołalnie wkraczało w zarezerwowane dotąd dla osób prywatnych lub zgromadzeń religijnych nauczanie swej najzdolniejszej młodzieży.

■ ANDRZEJ NIEUWAŻNY

Po objęciu władzy w 1799 r. Napoleon zamierzał bowiem nie tylko zakończyć wojny toczone od siedmiu lat na zewnątrz i wewnątrz kraju, który od 1789 r. przeżył siedem systemów rządów (i otrzymywał czwartą konstytucję!), czy też reanimować zrujnowaną gospodarkę. Przekonany, iż Rewolucja zniszczyła struktury społeczne, dyktator postanowił zbudować nowe społeczeństwo i nową hierarchię (tworząc m.in. tzw. szlachtę Cesarstwa, łączącą stare rody z ludźmi nowych zasług, zwłaszcza wojskowymi). Stosując rodzaj „grubej kreski” wobec pokolenia na zawsze naznaczonego i podzielonego rewolucyjnym dramatem, chciał wykształcić i wychować dla państwa nieskażone sporami młode pokolenie w myśl zasady: *odciąć przeszłość by wstrząsnąć przyszłością*. Dla tej przyszłości kształcono w odziedziczonej po Republice paryskiej Politechnice, która zmilitaryzowana przez Bonapartego dawać miała potrzebnych armii artylerzystów i saperów, a dopiero potem inżynierów do służby cywilnej. Do dziś zresztą umundurowani i uzbrojeni studenci Politechniki defilują 14 lipca po Polach Elizejskich; wielu z nich nosi... spódniczki, bo wśród przyszłych inżynierów nie brak przecież kobiet. Na napoleońskiej Politechnice skupiono też najwybitniejszych uczonych i dopuszczono do studiów przedstawicieli niefrancuskich departamentów Cesarstwa: Włochów, Ilyryjczyków, Holendrów.

Szkoła podstawowa bynajmniej nie powszechna.

U progu Rewolucji, która zniszczyła powszechne szkoły katolickie, 53% Francuzów i 73% Francuzek nie potrafiło czytać. W Cesarstwie, 900 tys. uczniów obojga płci od 6 do 10 lat mogło uczyć się w 31 tys. utrzymywanych przez gminy szkół podstawowych, a lekcje odbywały się często w opuszczonych budynkach kościelnych lub w domu nauczyciela. Dla oszczędności był on często również sekretarzem gminy, zakrystianem lub woźnym; dopiero w 1810 r. otworzono w Alzacji pierwsze kolegium nauczycielskie. Choć szkoły nie były obowiązkowe, a do tego płatne po 1 franku za ucznia, przyczyniły się do obniżenia analfabetyzmu odpowiednio do 46% mężczyzn i 53% kobiet. Za elementarze służyły najczęściej przedrewolucyjne i bardzo nabożne czytanki dla ludu (zazwyczaj po łacinie) za to za dodatkowe 50 centymów dziecko mogło poznać tajniki rachunków oraz porysować kredką lub grafitem. Najstarsi dostępowali wtajemniczenia – nauki pisania gęsim piórem. W ramach ćwiczeń uczniowie kopiować mogli wiszące na szkolnych ścianach sentencje, np. „Pojednanie z wrogiem rzadko trwa długo”.

Państwo mało troszczyło się o najmłodszych uczniów, a bardziej o wprowadzony (przy wstrzemięźliwym milczeniu episkopatu i niechęci Rzymu) w 1806 r. katechizm, z którego na lekcji religii uczono – poza

Dekalogiem i obowiązkami chrześcijanina – także obowiązków wobec cesarza:

(Pytanie): – *Jakie są obowiązki chrześcijan wobec panujących, a zwłaszcza jakie są nasze obowiązki wobec Cesarza, Napoleona I?*

(Odpowiedź): – *Chrześcijanie winni są swym panującym, a w szczególności my naszemu Cesarzowi Napoleonowi I, miłość, szacunek, posłuszeństwo, wierność, służbę wojskową, daniny zarządzane dla podtrzymania i obrony Cesarstwa i Jego tronu; winni mu jesteśmy także gorące modlitwy o Jego zbawienie i o ziemskie oraz duchowe powodzenie państwa [...]*

(Pytanie): – *Co myśleć należy o tych, którzy uchyliby obowiązkowi wobec naszego Cesarza?*

(Odpowiedź): – *Wedle Św. Pawła Apostoła sprzeciwiliby się oni porządkowi ustanowionemu przez samego Boga i godni byłoby wiecznego potępienia.*

Obliczono potem, że obowiązkowej i nieuchronnej miłości do Najjaśniejszego Pana poświęcono 45 linijek wydania z Metzu z 1807 r., wobec 89 linijek poświęconych czwartemu przykazaniu (*Czczij ojca swego i matkę swoją...*) czy 179 linijek rozważań o całym Dekalogu. W napoleońskiej wizji społeczeństwa hierarchia ważności była dość oczywista.

Jeśli 10-cio lub 12-letni chłopiec chciał i mógł uczyć się dalej, czekało go gimnazjum (*collège*) lub liceum. W gimnazjach uczono głównie francuskiego, łaciny i historii. Były one zróżnicowane wielkością i poziomem, a że prywatne lub finansowane przez miasta, nie podlegały niemal kontroli państwowej. Jednak wedle Napoleona to szkolnictwo średnie stać się miało pepinierą oddanych państwu elit. Wychowanie – mawiał – *ma charakter tyleż moralny, co polityczny. Celem jego jest przywiązanie do rządu pokolenia wschodzącego i pokolenia zstępującego; przywiązanie ojców przez dzieci i dzieci przez ojców, zbudowanie czegoś w rodzaju publicznego ojcostwa.*

Szkolnictwo średnie prawie jak armia.

Dekret z 1 maja 1802 r. powołał państwowe licea, w których umundurowani profesorowie (obowiązkowo bezżenni!)

uczyli umundurowanych uczniów w systemie wojskowych niemal rang, kar i nagród. Podobnie jak w armii napoleońskiej nie wolno było bić wolnych obywateli wyrosłej z 1789 r. Francji, ale areszt w izbie, czy nawet prawdziwe więzienie, nie omijały najkrnąbrniejszych.

Chłopców organizowano w 25-osobowe kompanie dowodzone przez „sierżanta” i czterech „kaprali” wybranych spośród najkarniejszych licealistów. *Nasi nauczyciele przypominali instruktorów kompanii, nasze klasy – izby żołnierskie, nasze przerwy – manewry, a nasze egzaminy – wojskowe parady,* wspominał później romantyczny pisarz i poeta, a zarazem oficer, Alfred de Vigny. Po wojskowemu ćwiczono ciała (od 1806 obowiązkowo uczono pływania), by umysły ławtwej ogarniały wpajane zasady, oraz języki raczej klasyczne niż żywe i raczej nauki ściśle niż historię czy geografę, które w przyszłych inżynierach, czy oficerach mogłyby jedynie rozbudzać niepotrzebne refleksje. A, że te rodzą się w koszarach jedynie przy nadmiarze wolnego czasu, licealista miał dzień zaplanowany od 5.00 rano po 21.00.

Jak to zazwyczaj bywa, wprowadzenie rygorów nie oznaczało jeszcze, że cele „napoleońskiego wychowania” zostały osiągnięte. Jak wspominał później były licealista, Charles de Rémusat, *to, co można byłoby nazwać ideą moralną, ideą obowiązku, odgrywało jedynie bardzo małą rolę w młodej społeczności, której byłem członkiem. Władza nie była ani szanowana, ani nie bano się jej, choć ulegano przed jej siłą. Panowała dyscyplina prawie wojskowa, która jednak, jak każda taka dyscyplina przyjęta była jako fakt dokonany, a nie wyraz prawa, i starano się jej ulegać jedynie tam, gdzie nie można było inaczej. „Nasz wychowawca to nasz wróg”. Ta dewiza była w powszechnym użyciu. Posłuszeństwo miało więc charakter jedynie powierzchowny. Duch się mu nie poddawał.*

Między wychowawcami, a uczniami trwał permanentny stan wojenny. Wśród tych pierwszych wielu nienawidzono lub kpino z nich, żaden nie był lubiany. Choćby pozory prób przypodobania się im lub mówienia o nich pochlebnie i z szacunkiem, byłyby źle widziane. *Wydaje mi się, że na okręcie lub nawet*

w więzieniu, uczucia majtków dla oficerów czy więźniów dla strażników, nie były odległe od tego, co czuło wobec zwierzchników nasze podporządkowane im bractwo. Każdy chwyt był dozwolony, by ująć ich nadzorowi poza jedynie tymi sposobami, które mogłyby zbyt zaszkodzić przestępcy. Oczywiście, że nie wolno było nigdy powiedzieć prawdy, jeśli mogłaby ona narazić kolegę. Byłoby to donosicielstwo, „kapowanie”, jak wówczas mówiono, a tego nie wybaczano. Nie należało im mówić prawdy nawet przy mniej znaczących okazjach. W stosunkach z nimi kłamstwo było prawem. Oni zresztą spodziewali się tego, nie byli zszokowani, i nie karali za nie. W gruncie rzeczy bowiem zależało im tylko na pewnym porządku rzeczy, na jego zewnętrznej stronie.

Żaden ład moralny, żaden obowiązek, czy uczucie nie wnikały w nasze stosunki z przełożonymi. Nie okazywali nam szacunku, i z wzajemnością. Nic nie przypominało stosunków rodzinnych, czy władzy ojcowskiej, którą – jak to się często mówi – zastępuje władza wychowawcy. Aczkolwiek nie oczekiwałem tego, uderzające było, iż od razu to zobaczyłem. Łatwo dostosowałem się do zasad, bałem się tylko kar; nie byłem bezczelny wobec wychowawców i uchodziłem za dobrego ucznia.

Idea państwowego nauczania była świeża, a doświadczenia lat Rewolucji, która pokazała jak głęboko może sięgnąć indoktrynacja, uczyły ostrożności. Choć licea powołano dla elity pieniądza i – na drugim miejscu – elity zasłużonych, z natury ostrożne wobec autorytarnego państwa, a przywiązane do wolności osobistej zamienne mieszczanstwo wołało posyłać synów do szkół mniej zideologizowanych. Wojskowe formy wielu zresztą początkowo odstraszały. Z kolei dla niejednego rodzica licea nie były dostępne, żądając 100 franków za ucznia dochodzącego, a 650 za mieszkańca internatu. W rezultacie, mimo nacisków władz i systemu stypendiów (już w 1802 r. gwarantowano je co czwartemu licealiście, a w roku 1804 w Metz wśród 140 mieszkańców internatu było 100 stypendystów), „licealizacja” męskiej młodzieży postępowała powoli. Jeszcze w 1809 r. w 80 liceach było tylko 27 575

uczniów, głównie z rodzin urzędniczych i wojskowych, wobec 27 710 podopiecznych szkół prywatnych i religijnych. Do szkół państwowych trafili więc synowie tych, którzy od państwa i tak zależeli, choć ich urzędowa lojalność podszyta już być musiała wdzięcznością za nieosiągalną inną drogą wykształcenie potomków.

A kobiety, sire?

Zauważmy niewielką, jak na dzisiejsze standardy liczbę uczniów w 30-milionowym kraju (gęsto zaludniona Francja zwana była wówczas „Chinami Europy”) i brak szkół średnich dla kobiet, które miały uczyć się „szydełkować” i przygotowywać się do bycia żoną. Wyjątkiem były nieliczne szkoły prowadzone przez zakonnice oraz prywatne (u nas zwane pensjami), ze słynnym Institut National de Saint-Germain na czele, przyjmującym panienki z rodziny Bonaparte i z paryskiej society. Elitarny przybytek uczył historii, geografii, ortografii, gramatyki i języków żywych, a do tego matematyki. W programie nie zabrakło jednak także miejsca dla muzyki, tańca, malarstwa, religii oraz... miłości ojczyzny, wykładanej jako *jeden z fundamentów wszelkich cnót społecznych*. Po Austerlitz (1805) państwo postanowiło zająć się sierotami po poległych oraz dziećmi odznaczonych, organizując pierwsze „Domy Edukacyjne Legii Honorowej”, z których ten w Écouen liczył w 1807 r. 600 uczennic, a bardziej prestiżowy w Saint-Denis – 1809. I tu przeniesiono niemal wojskową dyscyplinę, kładąc nacisk na praktyczne umiejętności przyszłych gospodyń domowych i żon. Instrukcje cesarza dla dyrektorki nie pozostawiały złudzeń, co do programowych wyborów: *powinny umieć robić pończochy i koszule oraz haftować, a do tego winny opanować wszelkie kobiece robotki*, pisał współautor Kodeksu Cywilnego, który wśród równych ludzi czynił mężczyzn „równiejszymi”. W konsekwencji uczyć miano kobiety rzeczy niezbędnych, a ideałem była sprawna w „robotkach” młoda dama wychowana w myśl hasła: *wierząca, a nierezonująca*.

Nie mijamy jednak do Napoleona ahisto-

rycznych pretensji, był człowiekiem swojej (oświeceniowej) epoki i myślał tak, jak większość współczesnych. Dla powolnego zmniejszania owej nierównowagi w kształceniu Francuzów i Francuzek trzeba będzie – po niemal półwieczu – Drugiego Cesarstwa, które zrozumie potrzebę dalszego uczenia dziewcząt, a w końcu wielkich reform szkolnych Julesa Ferry z lat 80-tych XIX wieku, tworzących licea żeńskie i nawet (późniejszą niemal o wiek od męskiej) żeńską École Normale Supérieure w słynnym z wzorcowego metra Sèvres.

Uniwersytet cesarski.

Rozwiązaniem państwowo-prywatnej „niespójności” w nauczaniu Francuzów stać się miał właśnie, wspomniany na wstępie, a założony w 1806 r. Uniwersytet cesarski, który w 1808 r. i 1811 r. otrzymał monopol na kształcenie chłopców *dla państwa na obywateli przywiązanych do swej religii, swego władcy, swej ojczyzny, oraz swej rodziny*. Znaczący dla takiej kolejności kształcenia miał być wybór na wielkiego mistrza *laickiej kongregacji*, jaką stał się obejmujący wszystkie szczeble edukacji Uniwersytet, publicysty Fontanesa, a nie chemika Fourcroya. Wielki mistrz, otoczony był 10 radcami dożywotnio mianowanymi przez cesarza (a faktycznie przez siebie) oraz 20 radcami wybieranymi na rok przez inspektorów generalnych (nadzorowali licea), dziekanów i profesorów. Uniwersytet podzielony został na regionalne akademie (wciąż istnieją!), z mianowanymi na 5 lat rektorami. Zarządzali oni wraz z 10 radcami i kilkoma inspektorami, liceami, gimnazjami i szkołami gminnymi z jednej strony, a z drugiej autonomicznymi w odróżnieniu od dawnych uniwersytetów Wydziałami (*Facultés*): humanistycznymi, nauk ścisłych, prawa, medycyny i teologii. Uniwersytet oznaczał bowiem całość edukacji państwowej.

Wbrew Napoleonowi, który oczekiwał militaryzacji kształcenia i koncentracji na sprawach praktycznych i wojennych, zawsze uniżony Fontanes promować począł edukację pretensjonalną i klasyczną w formie, a opartą na walorach moralnych i religijnych. Stopniowo nastąpić miał mniej

lub bardziej jawny powrót duchowieństwa do nauczania, a klęski późnych lat Cesarstwa mogły tylko osłabiać pozycję władzy. Próba państwowego monopolu poniosła ideologiczną klęskę.

Cesarstwo (N) i nauka przez duże N.

Współcześni i potomni nie szczędzili krytyki polityce Napoleona wobec edukacji, oraz kultury i sztuki, podkreślając mechanistyczną i utylitarną wizję cesarza, oraz nadmierną rolę państwa jako wszechobecnego cenzora. Jednak nawet krytycy musieli przyznać, że ten sam system, który ograniczał wolną myśl i starał się kontrolować życie obywateli, przyczynił się do rozkwitu już przodującej za czasów Rewolucji francuskiej nauki. Powodów było wiele, a jednym z nich z był podziw Bonapartego – prawdziwego dziecka Oświecenia, dla nauki jako dla motoru postępu technicznego, który z jednej strony prowadzić miał obywateli ku szczęśliwшему bytowi, a z drugiej przydawał prestiżu i realnej potęgi oświeconemu despotce. A że działania polityczne poczynają się w umysłach rządzących (czy trzeba to przypominać dzisiejszym decydytom od nakładów na naukę?), warto przytoczyć fragment listu, którym 28-letni, opromieniony świeżą sławą zwycięstw we Włoszech Bonaparte polecał w Paryżu swego szefa sztabu, gen. Alexandre’a Berthiera i wybitnego matematyka Gasparda Monge’a: *Przyjmijcie z równą wytwornością wybitnego generała i uczonego fizyka. Obaj oni uświetniają ojczyznę i rozślawiają imię Francuza na świecie*. Przypomnijmy, iż jeszcze przed objęciem władzy generał stanął, wraz z Mongem i Bertholetem, na czele Instytutu Egipskiego, a zwłaszcza jego członkostwo sekcji mechaniki Instytutu, w której ledwo w trzy dni po zamachu stanu oddawał się dywagacjom o nieco odległych od polityki równaniach różniczkowych. I nawet, jeśli z czasem aktywność Napoleona w pracach sekcji zamarła, to utrzymanie jego pensji jako członka Instytutu na czele cywilnej listy płac symbolizowało przynależność do korporacji uczonych i wagę, jaką do niej przywiązywał. Świadczy o tym i list napisany w 1812 r. do Laplace’a z Witebska, w którym wódz prowadzący na drugim końcu Europy gigan-

tyczne operacje wojenne, wyraża żal, iż nie miał czasu zapoznać się z najnowszą pracą uczonego o teorii prawdopodobieństwa...

Pierwszą zasadą polityki wobec nauki była jej użyteczność, co odpowiadało zresztą poglądom samych naukowców. Użyteczności nauki nie pojmowano jedynie jako bezpośrednich zastosowań w przemyśle, lecz dostrzegano też jej wagę przy ustalaniu praw fundamentalnych, a także rolę pedagogiczną. Używanie nauki oznaczało zaś, oczywiście, używanie samych naukowców, których talent i autorytet służył niepewnej wciąż władzy, a ona w zamian obsypywała ich zaszczytami. Stanowiący promień społeczeństwa uczeni, np. chemik Berthollet, stanowili siódmą część Senatu (cesarz mawiał, iż *to dobre miejsce dla ludzi, którzy skończyli karierę lub chcą pisać książki*, a senator zarabiał od pięciu do dziesięciu razy więcej od profesora uniwersytetu), kilku, w tym Laplace i chemik Chaptal pełniło funkcje ministerialne. Napoleon stworzył więc mecenas, który przekraczając dawne, ściśle naukowe ramy, wprowadzał uczonych w politykę i życie społeczne. Państwo ułatwiało też zakładanie stowarzyszeń naukowych i specjalistycznych periodyków, co wraz z finansowaniem etatów pozwalało tworzyć pierwsze pokolenie zawodowych naukowców.

Rywalizacja z Anglią, z którą Francja była w stanie ciągłej niemal wojny, stymulowała zainteresowanie państwa nauką i jej praktycznym zastosowaniem. O ile Napoleon zaakceptował przyznanie nagrody Instytutu dla Anglika Davy'ego (1813) za prace nad elektrycznością i pozwolił na jego przyjazd, to równocześnie rozkazał zbudować na Politechnice baterię większą od tej, jaką dysponował londyński Royal Institution.

Ducha rywalizacji, tak z Brytyjczykami, jak pośród uczonych francuskich, Cesarstwo pobudzało m.in. stypendiami i premiami: Jaccard dostał wysoką stałą pensję za swoją maszynę do tkania jedwabiu, ogłaszano kolejne wysoko premiiowane konkursy na potrzebne państwu odkrycia techniczne, czy medyczne. Dekretami i obietnicą nagród nie można stworzyć wynalazków, ale – i Napoleon tego dowiódł – można pobudzić uczonych do intensywnych badań.

Polityka Cesarstwa wobec nauki zachwycała jednych (już po Waterloo angielski matematyk Babbage zalecał przyjęcie modelu od pokonanego przeciwnika), a oburzała innych, jak poetę Lamartine'a, który tak uchwycił działania dyktatora: *Była to uniwersalna liga studiów matematycznych przeciw myśli i poezji. Jedynie liczby były dozwolone, honorowane, ochraniane i opłacane. A ponieważ liczba nie mędrkuje, [...] jest doskonałym biernym narzędziem tyranii, które nigdy nie pyta, do czego jest użyte. [...] Matematyka była łańcuchem pętającym ludzką myśl.*

Historyk może zastanawiać się, czy bez napoleońskiej dyktatury Gay-Lussac nie odkryłby praw rządzących gazami, Laplace nie posunąłby badań nad prawdopodobieństwem, a Pinel nie zrewolucjonizowałby postępowania z chorymi psychicznie, którym zdjęto łańcuchy i zaaplikowano kurację. Nie ulega jednak wątpliwości, że poza spektakularnymi gestami reżymu finansującego badania i ujmującego ich postępy w statystykach, dostrzec możemy powiązanie uczonych z gospodarką, obronnością i polityką społeczną (zwalczanie chorób!), a więc początki nowoczesnej polityki wobec nauki.